

Niestosowni

Lato 1979 roku. Wczoraj listonosz przyniósł mi powiadomienie z uczelni, że zdałem egzaminy i zostałem przyjęty na studia, a Małgorzata, trzy lata ode mnie młodsza, licealistka, zaledwie otrzymała promocję do II klasy.

Od tygodnia spotykamy się i to niby tylko tak; kolega, koleżanka – koleżanka, kolega. Strasznie gorliwe jednak to koleżeństwo.

Spowiadamy się sobie romantycznie. Ona do mnie:

- Kocham Pawła, ale on na mnie w ogóle nie zwraca uwagi – Tak mówi, a wgapia się we mnie jak w milion dolarów. Ja do niej:
- Wiesz, jak brakuje mi Iwony? Byliśmy razem przez dwa lata i zostawiła mnie na miesiąc przed maturą.
- Głupia pinda – stwierdza z przekonaniem.
- Hm – chrząkam, bo nie wiem, co odpowiedzieć na takie dictum, a moja dłoń błądzi gdzieś w stronę dłoni Małgorzaty.

Głaszczą się paluszki. Jakoś tak same się głaszczą i słyszę wyszeptane:

- Nie. On jest bez sensu.
- Ona też jest bez sensu.

Siedzimy na murku obok „Merkurego”. Jest skwarne popołudnie. Pijemy colę i uśmiechamy się do siebie. Uśmiechamy się do siebie, a nasze aury aż się pożerają. A my nic, my tylko się uśmiechamy.

Wołają na nią Kiewe, pytam więc:

- Czemu Kiewe?

Trochę się w sobie zacina. Coś jakby wstyd.

- Aaa, to takie indiańskie imię.

Spoglądam w jej stronę z lekka zdziwiony. Ach! Co tam jednak! Przecież to tylko ksywka.

Małgorzata jest szczupłą i dosyć wysoką brunetką. Trudno pozostać obojętnym na jej powab. Jest bardzo zgrabna. Orzechowe oczy zuchwale lustrują mijających nas ludzi. Chyba tym, z lekka beczelnym wejrzeniem, zniechęca do siebie chłopaków z osiedla, choć większość z nich zwyczajnie ślini się na jej widok. Ma prosty, rzymski nos i pełne wargi, a włosy obcięte na „chłopaka” sterczą na jej ślicznej główce we wszystkie strony.

Stopy prowokują parą dziurawych tenisówek. Poza tym jej garderoba składa się z trochę obszarpanych i powycieranych, ściśle opinających smukłe uda džinsów oraz niebieskiej koszulki na ramiączkach. Nie ma biustonosza. Średniej wielkości, kształtne i jędrne, piersi nęcą aby ich dotknąć... a gdzie tam dotknąć; wymiętosić, ile się da.

I takie to, około pięćdziesiąt kilogramów świeżusiej kobiecości, ustylizowanej na bardzo drogi, acz skan-cerowany znaczek pocztowy, siedzi na murku obok mnie i kusi.

Opowiada mi o swoich wędrownkach po Tatrach, które zdążyła już schodzić wzdłuż i wszerz. Jest zakochana w muzyce The Beatles. Na swoim ZK 140 ma ponagrywane ich wszystkie albumy.

- Myślałem, że słuchasz Pistolsów.

- Lubię muzykę moich rodziców. Znasz „Groszki i róże” Ewy Demarczyk?

- Mam jej płytę. Świetna pieśniarka.

Co za melanż! – myślę. Młodzieńcza arogancja przyprawiona romantyzmem z odrobiną szacunku dla upodobań starszych. Ta nadobna chłopczyca fascynuje mnie coraz bardziej.

- Małgorzata? Nigdy nie miałem okazji wysłuchać w całości „Białego albumu”.

Uśmiecha się filuternie.

- Jak będziesz miły, to może zaproszę cię do siebie.

- Tak? No to chodźmy do mnie. Posłuchamy „Red” King Crimson.

Taksuje mnie tym swoim łobuzerskim spojrzeniem z góry na dół czy może na odwrót, a potem nagle spuszcza wzrok.

- Mirek, ale ja nie rozumiem tej muzyki.

- Nie rozumiesz, bo jej nigdy nie słuchałaś – peroruję niczym belfer.

Kryguje się trochę przed starszym kolegą (ha, ha, ha, kolegą), ale mimo to szybko się zgadza:

- Chodźmy.

Dlaczegoś chcę być z nią jak najdłużej. Boże! Niech te chwile trwają całą wieczność.

Leniwie człapiemy przez jar dzielący „Merkurego” i mój blok. Ani słowa jedynie spojrzenia i uśmiechy. Wspinamy się po schodach. Potem już tylko ulica, chodnik, czwarte piętro i będziemy kompletnie sami. Taki scenariusz się realizuje. Wtem...

Jasna cholera!!! Aleśmy wyleźli. Na ławce przed wejściem do klatki schodowej siedzą sobie: mój przyjaciel Piotr, jego ukochana - Grażyna, i od trzech miesięcy skłócona ze mną moja miłość – Iwona. Noż by to! Nie mieli się kiedy pojawić! Gruba niestosowność, bardzo gruba. Tylko kto bardziej niestosowny; my czy oni? W każdym razie wszyscy jesteśmy zaskoczeni. Grażyna i Piotr pewno chcieli do-

brze; przekonali Iwonę, ale to wszystko wyszło jakoś nie w porę, zupełnie nie w porę. Tak konstatuję na szybko.

Piotr, to dosyć krępy blondyn średniego wzrostu, ubrany jak młody Amerykanin, ponieważ ma rodzinę w Zachodnich Niemczech.

Grażyna jest ładną brunetką o lekko kędzierzawych włosach, które falami spływają na jej delikatne ramiona. Wyróżnia się manierami młodej arystokratki, co w PRL-u trochę zadziwia. Poza tym jej wyśmakowane fatałaszkę są francuskie, bo ma rodzinę we Francji.

Iwona wreszcie; śliczna, drobna, lazuruwocieńska blondyneczka, o zadartym trochę piegopatym nosku, szeroko rozstawionych kościach policzkowych i małych, ale pełnych ustach. Nie ma żadnej rodziny za granicą, a ubrana jest w sukienkę typu „mała czarna” (krój Coco Chanel) zadrukowaną, no a jakże, obliczami panów: Lennona, McCartney`a, Harrisona i Starra.

- *Skąd ona taką świetną kieckę wytrzasnęła?* – zważywszy na sytuację taka zupełnie nieakuratna myśl rozbłysła w mojej mózgowicy.

Stale jednak my kontra oni; jak w westernie.

Na twarzy Małgorzaty dostrzegam rezygnację. *Chciałeś Iwonki, to ją masz. A ja co? Co ze mną teraz?* Oparta o barierkę schodów ze spuszczone głową, wygląda biedactwo jak półtora nieszczęścia.

A to mi się klęska urodzaju przytrafiła. Jednak nawet próżność i tak u mnie mizerna, pogubiła się w tym ambarasie.

- Idź do niej – wysmucha cichutko.

Nagle już wiem, co mam zrobić. - Nie wiem - jak, ale wiem - co.

- Czekaj tu na mnie. To nie potrwa długo. Poczekaasz?

Przytakuje pokornie. Wygląda jak skrzywdzony urwis. Jakaż ona w tym piękna.

Przechodzę przez ulicę, aż zdrętwiały od napięcia i hardego zdecydowania. Podchodzę do trojga na ławce. Spoglądają na mnie, na nią poza moimi ramionami z jakąś zgrozą w spojrzeniu, a ta zgroza przyprowadzona jakby niesmakiem i przyganą. Zupełnie nie wiem, co mam powiedzieć, więc stoję przed nimi i - w oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków, witam się prozaicznie:

- Cześć.

Ale to „cześć” brzmi jak „precz”.

W tym momencie Iwonie zupełnie puszczaają nerwy, zrywa się z ławki, odwraca ode mnie głowę i zaczyna biec w stronę swojego domu. Opalone na złoty brąz nogi łyskają w promieniach słońca, a jej ramionami wstrząsa... chyba szloch. Grażyna chce biec za nią, ale Piotr ją wstrzymuje:

- Zostaw.

Są na mnie oburzeni, ale nic nie mówią, a ja, chociaż czuję się idiotycznie, to rad jestem, że stało się to, co chciałem, aby się stało.

- Przykro mi – mówię do nich i rozkładam ręce w geście bezradności, na co Piotr, milcząc, samą mimiką wyraża wobec mnie, delikatnie mówiąc, daleko idącą dezaprobatę.

Mam już tego dość.

- Przepraszam. Muszę iść.

Robię w tył zwrot i zdążam w stronę Małgorzaty. Mocno, bardzo mocno chwytam ją za rękę i szybko zbiegamy po schodach. Ona płacze i śmieje się równocześnie, a ja, jeszcze w roztrzęsieniu, które powoli zsuwa się ze mnie jak stary łach myślę: *Nie. Już cię nie wypuszczę.*

Znikamy przed spojrzeniami moich przyjaciół za załomem bloku, w którym mieszka Małgorzata i wpadamy w siebie jak dwie studnie jedna w drugą. My się nie całujemy, my się pochłaniamy. Jakiś mijający nas starszy mężczyzna spluwa na nasz widok. A niech sobie pluje. Jesteśmy niestosowni, ale szczęśliwi.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Mirosław Sliwa, dodano 31.01.2015 00:51

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.